

JAKUB
CWIĘK

BRUDNOPIS BOGA

STRÓŻE

STRŮŽE



— JAKUB —
CWIĘK

BRUDNOPIS BOGA

STRÖZE

— Kraków 2019 —

Stróże 2. Brudnopis Boga

Copyright © by Jakub Cwiek 2019

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2019

Redakcja – Tomasz Hoga

Korekta – Aneta Wieczorek

Projekt typograficzny i skład – Joanna Pelc, Natalia Patorska

Okladka – Paweł Szczepanik / BookOne.pl

Ilustracja na okładce – Piotr Sokołowski

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Jakub Cwiek

www.jakubcwiek.pl

www.facebook.com/JakubCwiekOfficial

Wydanie I, Kraków 2019

ISBN: 9788381294737



Wydawnictwo SQN pragnie podziękować wszystkim, którzy wnieśli swój czas, energię i zaangażowanie w wydanie książki *Stróże 2. Brudnopis Boga*:

PRODUKCJA: Kamil Misiak, Joanna Pelc, Joanna Miła, Dagmara Kolasa

DESIGN I GRAFIKA: Paweł Szczepanik, Marcin Karaś, Agnieszka Jednaka

PROMOCJA: Piotr Stokłosa, Łukasz Próchno, Gabriela Matlak, Aldona Liszka

SPRZEDAŻ: Tomasz Nowiński, Patrycja Talaga, Karolina Żak

E-COMMERCE: Tomasz Wójcik, Szymon Hagno, Łukasz Szreniawa, Marta Tabiś

ADMINISTRACJA I FINANSE: Klaudia Sater, Monika Pluska, Honorata Nicpoń, Ewa Bieś

ZARZĄD: Przemysław Romański, Łukasz Kuśnier, Michał Rędziaż

www.wsqn.pl

www.sqnstore.pl

www.labotiga.pl

WSTĘP

Muszę Wam przyznać, że dziwnie mi się pisze ten cykl. Oczywiście wiedziałem od samego początku, że nie chcę pisać czegoś w duchu przygód Lokiego. Miał już swoją historię, w której grał pierwsze skrzypce, i to wystarczy. Postanowiłem sobie, że tutaj będzie postacią ważną, ale nie najważniejszą. Teraz oddamy głos aniołom.

Nawet jeśli nie widać tego w pierwszej książce, gdzie Lokiego wciąż jest sporo, zobaczycie to tutaj. W tym tomie przedstawię Wam kilka postaci, rozwiążę kilka zagadek i zadam kilka nowych. Zrobię to jednak w dość zwirowanej kolejności, dlatego umówmy się, że mi zaufacie, a ja dam z siebie jak najwięcej, byście dobrze się bawili. A w nagrodę, już po całej przygotowanej na ten tom opowieści, dołożę mały bonus. Może nie tak spektakularny jak w poprzednim tomie, ale również przez wielu wyczekiwany.

Miłej lektury!



(Na początek)
KOMU BIJE DZWON

Nigdy wcześniej nie pisałem listu, ten jest pierwszy. Właściwie nawet nie wiem, czy nim jest. Nie wiem, czy ktokolwiek przeczyta choćby jedno z tych kreślonych kul-fonami zdań. A czy wiadomość od początku pozbawioną adresata można nazwać listem? Czy pisanie go ma jakikolwiek sens?

A jednak kreślę te słowa, porządkuję ostatnie wydarzenia w zdaniach, umiejscawiając je w ten sposób w jakimś czasie i jakiejś przestrzeni. Nie prawdziwej, bo nie wiem już, co jest prawdziwe. W jakiejś. To pozwala mi nie oszaleć do reszty, choć Bogiem a prawdą nie umiem znaleźć powodu, dla którego miałoby mi tak zależeć na zachowaniu poczytalności. Możliwe zresztą, że jest już za późno, a wszystko, co mnie otacza, to sen szaleńca o normalności. Gdyby jednak było inaczej, oto moja historia.

* * *

Do ostatniej chwili Ewelina miała jechać z nami. Jej walizka leżała już nawet w bagażniku, we wgłębieniu po kole zapasowym, z którego wbrew wszelkim sugestiom Bruno zrezygnował ostatecznie przed rokiem. Wtedy jednak, na godzinę przed wyjazdem, zadzwonił jej szef i ściągnął ją w trybie pilnym z urlopu.

Wedle umowy miał prawo, ale Bruno i tak się wściekł. Zaczął krzyczeć, że nie powinna dawać tak sobą sterować; że pozwolono jej wybrać urlop dopiero w listopadzie, zmuszając ją do roboty całe to słoneczne lato ciągnące się aż po ostatnie dni października, co dobitnie ukazywało, jak mało ktokolwiek liczy się z jej zdaniem. Zmuszenie jej do odwoływania wyjazdu i zmieniania planów nawet nie z dnia na dzień, a z godziny na godzinę, było – jego zdaniem – ostatecznym poniżeniem i pokazaniem jej, że nie znaczy zupełnie nic. Jest tylko, tu cytat, pierdolonym kalkulatorem z długimi nogami i cyckami.

Uważam, że mógł sobie darować to ostatnie zdanie, a także odpuścić napastliwy ton. Miał rację, wiedzieliśmy o tym wszyscy troje; być może udałoby mu się nawet przekonać Ewelinę. On jednak poszedł za daleko, ja milczałem, nie chcąc się wtrącać, a jej nie pozostało wiele opcji, by wyjść z sytuacji z godnością.

Wykrzyczała więc Brunonowi w twarz, że cokolwiek jej zlecą, czymkolwiek będzie się przez najbliższy tydzień zajmować, będzie to i tak lepsze od siedzenia z nim w wyludnionej mieścinie nad morzem i czekania, aż jego myśli uwolnią się od projektu na tyle, by zamienił z nią choć słowo. Dodała też, żeby nie był hipokrytą. Ona miała choć te kilka dni wolnego, co i tak stawiało jej szefa o szczebel wyżej niż jego, bo tamten dupek nie daje Brunonowi ani chwili wytchnienia.

„Nawet gdy mnie pieprzysz, myślisz o jebanych stropach i ścianach nośnych!”, wrzasnęła w końcu na pół osiedla, obróciła się na pięcie i weszła do klatki, zatrząskując za sobą drzwi. Sąsiedzi się gapili, Brunon nie wziął kluczy, a ani myślał korzystać teraz z domofonu. Spojrzał więc ni to na

mnie, ni to obok, ja skinąłem głową, wsiedliśmy do auta i ruszyliśmy. Walizka Eweliny pojechała z nami.

Nie odzywaliśmy się do siebie przez całą drogę. Godzinę słuchaliśmy radia, zmieniając stację, ilekroć na aktualnie odbieranej zaczynała się przerwa na reklamy. W końcu jednak trzy z rzędu zaproponowały nam kolejno lek na potencję, biegunkę i nadmierną potliwość. Od tamtej pory jechaliśmy w ciszy. Gdy za Łodzią zaczęło padać, do dźwięków silnika i opon młaszczących o asfalt doszły irytujące jęki wycieraczki.

„A jednak tu z nami jesteś, suko. Tylko głosem, ale jesteś”, mruknął pod nosem Bruno, a ja, nie mogąc się powstrzymać, parsknąłem.

Mimo kiepskich warunków jechało nam się dobrze. Póki trzymaliśmy się autostrady, w zasadzie się nie zatrzymywaliśmy. Ruch był mały, więc mogliśmy spokojnie trzymać dobre tempo, a postoje ograniczyliśmy do dwóch przerw na siku i jednej na obiad. Dopiero gdy za Grudziądzem zjechaliśmy z A1 – co zbiegło się niefortunnie z zachodem słońca i przejściem niewielkiego deszczu w regularną ulewę – poczuliśmy, jak w jednej chwili dopadło nas znużenie drogą. Przed sobą mieliśmy cztery ciężarówki, stanowiące w tych warunkach kolumnę nie do wyprzedzenia. Czerwone światła ostatniej z nich rozchodziły się w kleksy na naszej szybie, a Bruno coraz mocniej kłął pod nosem i raz po raz zerkał na telefon pełniący funkcję GPS-u, jak gdyby gdzieś mu się spieszyło, choć przecież pracę mieliśmy zacząć dopiero jutro, i to wcale nie o świcie.

Wlepiłem wzrok w widok za oknem. Patrzyłem na drzewa w skrajni, przy tej prędkości zupełnie niegroźne, na

szare pola rozciągające się za nimi. Na jednym z nich dostrzegłem stracha na wróble, jakiego w Polsce chyba nigdy wcześniej nie widziałem. Był niemal kreskówkowy, groteskowo mroczny jak stwory z serialu o psie Scooby-Doo, które na końcu zawsze okazywały się człowiekiem w masce. Komiczny efekt spotęgowały siedzące na strachu wrony.

Już miałem zwrócić na to uwagę Brunona – obaj od zawsze byliśmy wielkimi fanami psa strachajły i jego kompanów – gdy nagle zahamował gwałtownie, dzięki czemu uniknął wbicia się w ciężarówkę.

„A żeby cię tak posrało, cwelu głupi!”, warknął, a potem nie wiadomo który już raz wyjął z uchwytu kubek po kawie tylko po to, by przekonać się, że nadal jest pusty.

* * *

Do Głuszyc zajechaliśmy około dwudziestej, umordowani drogą. Przekrzywiona, pogięta tablica z nazwą miasta wyłoniła się nagle zza drzewa, błysnęła nam w oczy odbitym światłem reflektorów, jak gdyby chciała nas przestraszyć.

„Nareszcie”, mruknął Bruno i już, już miałem przyznać mu rację, gdy coś między drzewami odwróciło moją uwagę...

Nie, nie tak. To nie było „między drzewami”. Chodzi mi o samą linię drzew i krzewów, o mrok między nimi. O przestrzeń, która na ułamek sekundy w jednym konkretnym miejscu wyprężyła się i odkształciła niczym membrana, na którą od drugiej strony napało coś o stanowczo za długich palcach i nienaturalnie pociągłej twarzy, jak gdyby rozciągniętej w niemym krzyku. Kształt poruszył się, cofnął i napał ponownie; za drugim razem jego palce

jeszcze mocniej wpiły się w naprężoną materię, wywołując przy tym bzyczący dźwięk zlewający się z pracą silnika.

Oczywiście dopiero teraz widzę to aż tak precyzyjnie. Zupełnie jakbym ponownie oglądał już raz widziany film i rozumiejąc kontekst, mógł zawczasu zwrócić uwagę na wszystkie szczegóły zlekceważone za pierwszym podejściem.

Wtedy jednak dość szybko zdumienie minęło. Zamru- gałem i potrząsałem głową, ale ostatecznie uznałem to za efekt zmęczenia i złudzenie wywołane rozbłyskiem światła na tablicy z nazwą miasteczka. Może gdybym wtedy nie od- puścił tej myśli tak łatwo, gdybym nie dał sobie przyzwo- lenia na zmęczenie po tym ostatnim uciążliwym odcinku drogi... Nie! Jest zdecydowanie za późno, by myśleć w ten sposób, a te słowa nie mają być zapiskiem mojej skruchy, lecz streszczeniem następujących po sobie wydarzeń. Za- tem: dostrzegłem coś, potrząsałem głową, a zaraz potem wjechaliśmy do Głuszyc.

Nadmorska miejscina była jedną z tych, które poza sezonem wymierały niemal doszczętnie. Dopiero minęła dwudzie- sta, ale na świeżo odremontowanych chodnikach nie było absolutnie nikogo, choć tu najwyraźniej w ogóle nie do- tarł deszcz, z którym ścigaliśmy się przez większość trasy. W pensjonatach i ośrodkach wypoczynkowych ciągnących się wzdłuż drogi i stanowiących pełen przegląd estetycz- nego bezguścia nie świeciło się w żadnym oknie, a blasza- ne i drewniane budy straganów pozamykano łańcuchami i kłódkami niczym wyjątkowo niebezpiecznych złoczyńców.

Na płotach i słupach ogłoszeniowych wyblakłe plakaty zachęcały do uczestnictwa w dawno już nieaktualnych atrakcjach: letnie kino w plenerze, wodna przejażdżka na dmuchanym bananie czy koncert muzyki cygańskiej połączony z imprezą do białego świtu. Wiele afiszy było już nieczytelnych, strzępy tych naderwanych łopotały na wietrze.

Po mniej więcej kilometrze dojechaliśmy do ronda. Pamiętałem z mapy Głuszyc, którą oglądaliśmy z Brunonem w komputerze, że miasteczko widziane z góry przypominało swoją zabudową grabie porzucone w środku zieleni parku krajobrazowego. Właśnie znajdowaliśmy się w miejscu, gdzie trzonek łączył się z grzebieniem, którego zęby sięgały wydm. Teraz na gankach czy w oknach kilku spośród ustawionych równo domków zobaczyłem światło, ale to nadal były pojedyncze, sporadyczne przypadki, które jeszcze mocniej utwierdziły mnie w przekonaniu, że ta miejscowość wymarła.

„...pochłonęło morze”, powiedział Bruno.

Spojrzałem na niego wymownie, ale on potrząsnął tylko głową.

Wjechał na rondo i przy skręcie zahaczył dłonią o dźwignię wycieraczek. Przejechały po suchej szybie z głośnym, drażącym uszy jękiem, od którego obaj aż się wzdrygnęliśmy. Bruno zaklął i oczywiście natychmiast je wyłączył, ale wtedy gdzieś z oddali dobiegł nas w odpowiedzi dźwięk na pozór podobny, ale jednocześnie skrajnie obcy. Brzmiał jak stęknienie luzowanej cięciwy, jak wiatr trący o naprężoną gumową membranę, jak... skowyt?

„To nie jest dobre miejsce, by tu zostawać, Bruno”, powiedziałem tchnięty nagle paskudnym przecuciem z rodzaju tych, których nie wolno mi było zlekceważyć. „Podjedźmy gdzieś, byle poza ten las, gdzieś, gdzie są ludzie. Jest jeszcze wcześniej, zdążymy znaleźć nocleg kawalek dalej i...”

I właśnie w tym momencie, jak na zawołanie, zobaczyłem pierwszego głuszyczanina. Stał pod wiatą murowanego przystanku autobusowego ustawionego sto metrów za rondem. Miał na sobie niebieską ortalionową kurtkę z białymi obszyciami; tylko dzięki niej go w ogóle dostrzegłem skrytego w mroku. No i jeszcze za sprawą oczu, które otworzył tak szeroko, że sprawiał wręcz wrażenie, jakby je wybałuszał. Ich białka wyglądały na pożółkłe za sprawą przyćmionego światła ulicznej lampy stojącej obok przystanku albo może niezdrowej wątroby.

Nie wiem, czy Bruno w ogóle go zauważył. Jechał powoli, skupiony na odliczaniu kolejnych ulic stanowiących zęby grabi i sprawdzaniu ich nazw. Mamrotał je po cichu, a facet na mijanym właśnie przystanku patrzył za nami. Również poruszał ustami, trochę tak, jak gdyby przedrzeźniał mojego przyjaciela, choć nie udało mi się wyłowić z ruchu jego warg żadnych konkretnych słów, a trochę, jak gdyby w kontrolowany sposób się dławił.

„Smaragdowa. Dobra, to tu”, stwierdził w końcu Bruno i skręcił. Przejechał dwadzieścia metrów i zatrzymał się pod równym, świeżo odmalowanym drewnianym płotem z wysokim cokołem wyłożonym otoczkami. Za ogrodzeniem wznosiła się dwupiętrowa biała willa o spadzistym dachu. Po lewej znajdował się przeszklony taras, a na froncie

zadaszony ganek i przyczepiona do ściany drewniana krata, na której dogorywały pędy winorośli.

Bruno pochylił się i wyjął ze schowka kopertę, w której leżały klucze do domu i pilot do bramy. Nacisnął wielki czerwony guzik pilota i część płotu drgnęła, a potem przesunęła się w prawo. Gdy brama otworzyła się do połowy, wjechaliśmy do środka. Tam Bruno wcisnął kolejny przycisk; kłapa garażu drgnęła i zaczęła się powoli unosić.

Wysiadłem, przeciągnąłem się i zaraz odwróciłem gwałtownie, gdy coś za moimi plecami zazgrzytało nieprzyjemnie. Jak się okazało, była to brama, teraz zamykająca się automatycznie, ale zidentyfikowanie tego dźwięku wcale nie sprawiło, że poczułem się lepiej. Oto bowiem w ciemnym oknie domu naprzeciwko dostrzegłem trzy sylwetki na tle mroku. Trójka ludzi wpatrujących się nieruchomo w bramę, dom i – przysiągłbym – we mnie.

Od morza powiał nagle mocny, zimny i wilgotny wiatr, który przeszył mnie na wskroś i sprawił, że zerwałem się gwałtownie, zgąłem pod opadającą kłapą garażu i dopadłem Brunona. Chciałem wykrzyczeć mu w twarz, że coś z tym miasteczkiem i jego mieszkańcami jest poważnie nie tak, że powinniśmy się stąd zbierać jak najszybciej, zaraz, natychmiast, już.

Stał z telefonem przy otwartym bagażniku i ziewał. Spojrzałem mu przez ramię. Wysłał właśnie SMS-a do Eweliny. „Na miejscu. Dobranoc”.

Gdy zobaczyłem, w jaki sposób chwycił za rączkę walizki, zrozumiałem, że do niczego już go nie przekonam.

Górne piętro willi nie zostało jeszcze oddane – schody wiodące na górę zabezpieczono deskami, zza których wystawały rażące betonową surowością stopnie – ale nie potrzebowaliśmy go, parter wystarczał nam z nawiązką. Przestronna kuchniojadalnia przedzielona wyspą z lśniącym, czarnym blatem, dwie sypialnie, salon z kominkiem i wyjściem na przeszklony taras, duża łazienka. Wiedziałem, że wanna z hydromasażem ucieszy Brunona, mnie jakoś nie ruszała.

Mój przyjaciel zajął sypialnię bliżej kuchni. Nie protestowałem, było mi wszystko jedno. Wolałem poświęcić chwilę na uważne obejrzenie sobie wszystkich pomieszczeń. Przyznaję, ich widok cieszył oko. Bardzo fachowe wykończenie, staranny i przemyślany dobór motywów, mebli, nawet drobnych bibelotów. Oczywiście książki ustawione na regale w przedpokoju miały dziewicze grzbiety, ale przynajmniej dobór lektur nie był szczególnie pretensjonalny. Kilka kryminałów, ze cztery albumy fotograficzne, parę powieści marynistycznych O'Briana.

Sprawdziwszy starannie wszystko, ruszyłem do Brunona, ale wtedy coś mnie tknęło. Nie umiałem tego nazwać, choć w przeszłości zdarzyło mi się już kilkukrotnie. Dziwne uczucie, jak gdyby moje oczy zauważyły coś, ale nie były w stanie przekazać tego umysłowi. Jakby jakaś ważna rzecz, istotna obserwacja utkwiała tuż poza zasięgiem myśli.

Wróciłem najpierw do kuchni, potem przeszedłem do salonu, słysząc, jak za moimi plecami Bruno wchodzi do łazienki. Nauczony doświadczeniem pomyślałem, że pewnie zniknie tam na co najmniej godzinę, a skoro jest tak

zmęczony, będę musiał przynajmniej kilka razy sprawdzić, czy nie zasnął w wannie i się nie topi. Jednak na razie wciąż walczyłem z tym dziwnym uczuciem. Pod wpływem impulsu wyłączyłem światło i spojrzałem za okno.

Stali za drewnianym płotem; była ich dwudziestka, może więcej. Równo, jeden obok drugiego, wszyscy z szeroko otwartymi, niezdrowo żółtymi oczami. Poruszali ustami, jakby coś żuli, i wpatrywali się nie w dom, nie w okno, a prosto we mnie.

Wtedy też dostrzegłem to, co wcześniej mi umykało. Ślady na szybie. Odciski dłoni o nienaturalnie długich palcach, odbicie głowy i rozciągniętych ust.

Naraz usłyszałem bzyczenie, to przybierające na sile, to znów słabnące, raz niskie, niemal basowe, a po chwili na granicy histerycznego pisku. Miałem wrażenie, że potężny rój pszczół próbuje naśladować ludzkie dźwięki, mówić niezrozumiałe dla mnie słowa.

Po chwili dotarło do mnie, że to najprawdopodobniej te same słowa, które wymawiał człowiek na przystanku, gdy próbowałem czytać z ruchu jego warg. I ledwie to sobie uświadomiłem, świat najpierw zaczął śnieżyć jak ekran starego telewizora podczas burzy, a następnie rozpadł się, rozsypał niczym konfetti. Za nimi, wydając dźwięk naprężanej gumy, obrzydliwa ciemność membrany świata podrygiwała jak nasmarowany łojem czarny balon. Napierały na nią jedna po drugiej istoty o długich palcach i pociągłych twarzach.

Niewiele myśląc, skoczyłem ku łazience. O ile jednak pierwszy i drugi sus udały się bez przeszkód, o tyle przy trzecim uderzyłem w miękką, niewidzialną barierę. Naparłem

na nią jak na ścianę namiotu, wpiłem palce w zakrzywioną materię powietrza i krzyknąłem najgłośniej, jak potrafiłem, imię mojego przyjaciela. Przemknęło mi przez głowę, że stałem się dzieckiem w magiczny sposób uwięzionym w balonie. Potem pomyślałem, że w jakiś pokrętny sposób, zakrzywiając nie tylko przestrzeń, lecz także czas, to ja jestem stworem, którego dostrzegłem wcześniej między drzewami w lesie, że to był mój niemy, ostrzegawczy krzyk. A później zapadłem się w ciemność.

* * *

Gdy się ocknąłem, stałem obok włącznika światła w salonie, wciąż wpatrując się w okno, za którym nikogo nie było. Zniknęły też ślady na szybie, świat znowu był spójną całością, a nie rozsypanym na podłodze konfetti, jak gdyby nic się nie wydarzyło.

Przecież nie mogło mi się zdawać. To wszystko było zbyt realne, zbyt prawdziwe, opuszki palców wciąż czuły zetknięcie z rozedrganą powłoką, w uszach wciąż miałem echo bzyczenia, jęku membrany i mojego własnego krzyku. Szybko przebiegłem po wszystkich pomieszczeniach prócz łazienki, szukając jakiegokolwiek śladu upiornej niezwykłości, ale nic takiego nie znalazłem.

Wróciłem więc do salonu, włączyłem światło i w tym momencie pojawił się Bruno z telefonem w dłoni. Z wyraźną irytacją to przykładał go do ucha, to znów zerkał na ekran.

„No co jest, przecież mam pełen zasięg”, mruknął.

„Poczekaj, ja spróbuję”, powiedziałem i również spróbowałem się z kimś skontaktować.

Ale ani on, ani ja nie dostaliśmy żadnej odpowiedzi.

Wtedy też zawył wiatr, głośno załopotana chroniąca grządkę folia ogrodowa uwolniona spod ciężaru kamieni przygniatających ją do ziemi. Coś uderzyło o szybę, więc obaj odwróciliśmy się gwałtownie, chcąc zidentyfikować źródło hałasu. W tej samej chwili z oddali dobiegł nas głośny, miarowy dźwięk. Kościelne dzwony.

* * *

Słyszałem dźwięk dzwonów w zasadzie w każdych okolicznościach i dlatego wolno mi chyba stwierdzić, iż nauczyłem się rozróżniać ich melodie zależne od emocji, jaką głoszą. Inaczej bowiem brzmi ten sam dzwon, gdy głosi radość albo żalobę, gdy bije na trwogę i gdy zagrzewa do boju. Zupełnie jak człowiek. To samo serce, ten sam głos, tysiące uczuć i sposobów ich wyrażenia.

Taki dzwon, jak ten w Głuszycach, słyszałem jednak po raz pierwszy. Była w jego niesionym wiatrem metalicznym brzmieniu weselna radość doprawiona jednocześnie goryczą pogrzebu, jakby zapowiadał ślubną uroczystość na zgłiszczach. Radość z upadku, z przemijania, gnicia, rdzewienia i rozkładu. Każde kolejne uderzenia serca o wieniec płaszczą było silniejsze, donośniejsze, ale towarzyszył mu też niosący się echem dźwięk osypywania się, jakby dzwon na wszystkie strony rozrzucił płatki rdzy, jakby bił po raz ostatni, bo więcej nie trzeba, jakby radośnie zwiastował koniec świata.

„Co do cholery?”, warknął wyraźnie przestraszony Bruno. Podążwszy za jego spojrzeniem, dostrzegłem, że za równym płotem znowu są ludzie – piętnaście, może dwadzieścia osób, pewnie mieszkańcy z całej ulicy. Nie patrzyli jednak na dom, lecz szli miarowym tempem przed siebie,

w kierunku morza, na wydmy, na plażę. Wszyscy mieli blade żółte oczy, coś też inkantowali, jakieś słowa brzmiące jak szept wiatru, który z nabieraniem mocy stawał się też coraz bardziej melodyjny, aż stał się niemal pieśnią. Plugawą, fałszywą, ale jednocześnie podniosłą i pełną uwielbienia.

„Co się, kurwa, dzieje?!”, krzyknął mój przyjaciel, teraz już przerażony nie na żarty, po czym wiedziony zupełnie irracjonalnym, przeczącym instynktom odruchem rzucił się ku drzwiom, by wyskoczyć na zewnątrz. Nie wiem, co chciał zrobić. Krzyżeć do nich? Pytać?! Nie mam pojęcia. Wiem jednak, że jedyne, co mi przyszło w tamtej chwili do głowy, to szaleństwem odpowiedzieć na szaleństwo.

„Bruno, stój!”, zawołałem, a on stanął nagle jak rażony gromem i odwrócił się powoli.

Wtedy po raz pierwszy mnie zobaczył.

* * *

Mierzył mnie wzrokiem, niepewny, jak zareagować. Dałem mu tę chwilę, stojąc w bezruchu, z rękami swobodnie zwieszonymi wzdłuż ciała, choć Trony i Zwierzchności świadkami, że wiele mnie to kosztowało. Mój przyjaciel, mój podopieczny stał teraz niemal przy drzwiach, tyłem do nich i ledwie kilkanaście metrów dzieliło go od dziwnego, przerażającego pochodłu wiedzonego ku plaży dźwiękiem bluźnierczego dzwonu. Czy gdyby któryś z głuszyczan wdarł się tu teraz, zdążyłbym zareagować? A może ponownie powstrzymałaby mnie ta niewidzialna bariera, ta membrana świata?

Nie wiedziałem i nie chciałem się nad tym zastanawiać. Teraz liczył się tylko Bruno.

„Kim jesteś?”, zapytał.

„Nie uwierzysz”, odparłem. Wiedziałem, że to prawda, bo miałem wgląd w jego myśli. On jeszcze nie zobaczył i nie doświadczył tego, co się działo, na tyle, by zwątpić w znany sobie obraz świata. Nie był świadkiem niczego, co odebrałoby mu choć cząstkę poczytalności. Nie przekroczył żadnej granicy, której nie mógłby później wyjaśnić i wytłumaczyć, już w spokoju i w znów przyjaznym, zrozumiałym świecie. Były tylko dzwony i ci dziwni ludzie. A teraz jeszcze ja.

„Kim jesteś?”, ponowił pytanie, zaciskając pięści, ale jednocześnie, alleluja, ruszając w moją stronę. Wiedziałem, że nie jest w stanie mnie skrzywdzić, zresztą nie dbałem o to, bo z każdym krokiem był dalej od drzwi, a bliżej mnie. Z każdym krokiem nabierałem coraz większej pewności, że uda mi się go ochronić.

On jednak nagle przystanął. Rozluźnił ręce, a w zasadzie obwisł cały niczym masywny skafander, z którego ktoś nagle wyszedł. Zatrzepotał powiekami, wywinął oczy tak, że widać było same białka, i stęknął, jakby ktoś uderzył go w brzuch. Rzuciłem się do niego, ale gdy byłem tuż obok, odepchnął mnie nagle z niezwykłą siłą, po czym wyprostował się jak struna i zagulgotał.

Odbiłem się od ściany, osunąłem na podłogę, lecz zaraz poderwałem się i wypuściłem skrzydła. Dość miałem gry pozorów, półśrodków, dość tego zamieszania. Ryknąłem najgłośniejszym, jak się dało, przyzwałem wszystkich, którzy mogli znaleźć się w moim zasięgu – stróżów, wojowników zastępów, archaniołów, nawet samego nieobecnego Wszechmogącego. Krzyczałem, aż budynek, w którym byliśmy, zatrzęsł się w posadach, ale mimo to wiedziałem, że mój głos nie opuszcza tego

miasteczka, bo tkwi ono zamknięte w kokonie z rozedrganej membrany, a jej ściany stanowią las, morze i ołowiane chmury.

Nagle mój krzyk urwał się jak cięty ostrzem, a Bruno spojrział na mnie i wykrzywił twarz w nienaturalnym uśmiechu.

„Raduj się, bo oto jest czas”, powiedział, a potem odwrócił się i wyszedł, by dołączyć do pochodu, który teraz był już pewnie na plaży.

* * *

Nie byłem w stanie pójść za nim. Moje stopy ugrzęzły w błocie zgęstniałej materii, podobnie jak końcówki skrzydła. Wyciągając dłonie, czułem membranę rzeczywistości. Znalazłem się w pułapce, która trzymała mnie przez kolejne dni.

Właśnie tak je odbierałem, jako dni, choć poza bąblem, w którym utkwilem, czas płynął znacznie szybciej. Na zewnątrz moje dni szybko przechodziły w tygodnie i miesiące. Każdy wschód niemal zlewał się z zachodem, a ludzie, w tym mój Bruno, poruszali się jak na przyspieszonym kilkadziesiąt razy filmie. Wchodzili, wychodzili, rozmawiali w progu, w ogródku, pod płotem. Przynosili zakupy, oglądali telewizję w salonie. Szykowali i jedli kolację. Dziesiątki ludzi każdego dnia przewijały się przez ten dom, ale wśród nich ani razu nie mignęła mi Ewelina. Bruno zapraszał za to do sypialni kolejne kobiety z miasteczka, a potem, gdy nadszedł sezon, coraz więcej letniczek. Na ile mogłem to stwierdzić, bo wciąż w ruchu był dla mnie rozedrgany i nieostry, schudł bardzo i cera mu pobladła, ale jednocześnie utwardził się, zmężniał. Mimo wszystko czułem dumę, że tak sobie radził, choć bałem się o niego za każdym razem, gdy wychodził po zmroku na wezwanie dzwonów, a potem

wracał z żółtymi oczami, śmierząc gnijącymi wodorostami i emanując nieokreśloną, ale jednoznacznie złą plugawością. Nic nie mogłem zrobić z tym, kim się stał, i nikt też nie był w stanie mi pomóc. Byłem jedynym Stróżem, jakiego widziałem przez cały swój pobyt w niematerialnym więzieniu.

Tkwiłem w tym błądle i tkwiłem, mając mnóstwo czasu, z którym nie bardzo miałem co zrobić. Mógłbym, na przykład, napisać ten list, ale nie, wtedy nawet nie zacząłem. Zrobiłem to dopiero później, gdy już zostałem uwolniony.

* * *

Któregoś wieczoru – po aurze za oknem i pustce ulicy potrafiłem już rozpoznać jesień – Bruno wszedł do domu i od razu skierował się w stronę łazienki. Zdałem sobie wtedy sprawę, że coś się zmieniło, bo w połowie drogi zwolnił nagle i minął mnie, poruszając się już w normalnym, a nie przyspieszonym tempie. Gdy zniknął za drzwiami, wiedziony przecuciem wyciągnąłem rękę. Nie napotkała na opór, co skłoniło mnie do uniesienia nogi.

Zrobiłem to zupełnie swobodnie. Postąpiłem krok do przodu, potem kolejny i jeszcze jeden. W końcu dotarłem do okna i zdałem sobie sprawę, że byłem tutaj – nie tylko w tym miejscu, lecz także czasie. Tu i teraz spoglądałem na dom naprzeciwko, gdzie w oknie stała trójka ludzi o żółtych oczach wpatrzona we mnie.

Pobiegłem do sypialni, którą wybrał Bruno, i dostrzegłem stojącą przy łóżku walizkę.

„A więc znowu jestem tu i teraz”, pomyślałem, choć miałem na myśli „tam i wtedy”. Ale nie, właściwie nie myślałem ani tak, ani tak, bo nie miało to dla mnie większego

znaczenia. Dużo bardziej liczyło się to, co miało się wydarzyć, odpowiedź, którą być może miałem uzyskać.

Obejrzałem się na drzwi łazienki, ale wiedziałem już, że tym razem nie będę tu stał i czekał, aż Bruno wyjdzie. Tym razem muszę poznać odpowiedź na jedno dręczące mnie pytanie. Komu bije ten dzwon. Na czyją chwałę.

Wybiegłem z domu i rozłożywszy skrzydła, wzniosłem się nad płotem. Coś zmniejszyło moją moc, nie dało mi wzbic się ku niebu, ale na szczęście wleciałem dość wysoko, by nie zahaczyć o deski. Zdołałem opaść na nogi po drugiej stronie, na wysypanej żwirem ścieżce. Trójka z okna naprzeciwko wciąż wpatrywała się we mnie, ale nie zważałem na nich, podobnie jak na innych, którzy z okien kolejnych domów łypali na mnie żółtymi ślepiami.

Szedłem szybko, prawie biegłem, czując wewnątrz, że jeżeli pozwolę choć raz zabrzmieć dzwonom, nie zdążę zobaczyć tego, po co tam zmierzam. Nie miałem pojęcia, co to, nie wiedziałem, czego się spodziewać, ale czymkolwiek była siła, która mnie ku sobie ciągnęła, nie mogłem stanąć nad nią już w pełni gotową, uformowaną. Nie mogłem jej zobaczyć takiej, jaką widzieli ją mieszkańcy Głuszyc, istoty rozbudzonej, zdolnej w jednej chwili opanować mojego Brunona na odległość i uwięzić mnie w pęcherzu poza czasem. Ja, anioł Pański, byłem na to za słaby.

Gdy wstąpiłem na ścieżkę wiodącą pomiędzy wydmami, wiatr przybrał na sile, wypełniając moje skrzydła i szarpiąc mnie do tyłu. Zdeterminowany pochyliłem się do przodu i naparłem, przełamując opór wywołany podmuchem. Oslaniając twarz przed piaskiem, wszedłem na plażę i stanąłem naprzeciw morza.

On był tam przede mną. Formował się z ciężkich, czarnych chmur i fal o białych grzywach. Jego ciało zlewało się w jedno z szarozielonkawej mgły. Pociągły pysk formował z wirów powietrza wyglądających jak kły albo macki – tańczyły w nich rozblyski wyładowań. W prześwitach, które mogły uchodzić za jego oczy, na czarnym tle mieniły się gwiazdy.

Był potężny. Był wszystkim oprócz mnie. Był obcy i nie miał w sobie niczego z dobra. Mimo to nie budził we mnie lęku, bo złem również nie był, a ja go nie obchodziłem, podobnie jak czas, jak świat, jak dzwon, który właśnie się odezwał, czy jak jego wyznawcy, którzy pewnie właśnie w tej chwili zaczęli opuszczać swoje domy.

Nie mogłem tak po prostu stać.

„Nie boję się ciebie!”, zawołałem prosto w te wiązki iskier tańczące na wodno-powietrznych wirach macek, prosto w oczy z czarnego nieba. „Nie boję się ciebie, bo za mną stoi Pan, który stworzył wszystko i jest wszystkim!”

Czy grzmot, który z rykiem rozdarł przestwór, był jego śmiechem? Czy błyskawice mknące po jego obliczu były błyskami rozbawienia? Nie wiem i nigdy się nie dowiem. Pamiętam tylko, że trwałem na tej plaży, a wokół mnie pojawiali się ludzie. Stawali w odstępach, które pozwoliłyby im wyciągnąć ręce na boki bez dotykania się nawzajem, i wpatrywali się, jak ja, w chmurę, która była nim. W morze, które było nim. W niego.

Rozejrzałem się i dostrzegłem Brunona. Nie było dla niego miejsca na plaży, więc stał na piaszczystym pagórku, dokładnie nad tabliczką z zakazem wchodzenia na wydmy. Ledwie go poznałem. Chciałem zawołać za nim, ale nie

byłem pewien, czy w tym czasie ujawniłem mu się czy nie. Jeśli nie, to nie chciałem tego zrobić teraz.

Morze tymczasem szarpnęło się w naszą stronę, po czym cofnęło dużo dalej, niż zwykły to robić fale, i na dość długo, bym dojrzał piaszczysto-kamieniste dno usłane lśniącymi od wilgoci, czarnymi kokonami. Pomiędzy nimi leżały wielkie liście podobne do palmowych, wijące się i kołyszące na wietrze. Przerażający był to widok, ale i w jakiś sposób nęcący. Liście kusiły, ciągnęły ku sobie.

Część otaczających mnie ludzi ruszyła, przyjmując zaproszenie. Ci, którzy byli najbliżej linii brzegowej, weszli najgłębiej i każdy zajął miejsce przy roślinie. Gdy obstawili je wszystkie, położyli się, a liście owinęły się wokół nich ciasno i szczelnie. Potem woda zakryła kokony i wróciła do dawnej linii brzegowej.

On nadal tam był. Widziałem wyraźnie, jak rozwiewał się powoli, ustępował, odchodził. Ci, którzy wpatrywali się w niego, trwali jeszcze na posterunku, ale ich żółte oczy przygasaly, jednocześnie bielejąc. Wiatr uderzający od lewej przyniósł ciepło i zapach ogniska. Świat normalniał.

Obejrzałem się na Brunona i zorientowałem się, że on też na mnie patrzy. Skinął mi głową, odpowiedziałem skinieniem. Potem odwrócił się i ruszył do domu, a ja podążyłem jego śladem.

Nie wiem, kim jestem.

To zaskakujące, ale właśnie zdałem sobie sprawę, że nie pamiętam, jak mam na imię. Nie będę wiedział, jak podpisać ten list do nikogo, więc i tego elementu zabraknie. Wiem

tylko, że siedzę teraz na przeszklonym ganku, deszcz uderza o szyby, a ja gryzmołę swoją opowieść owinięty kocem.

Bruno pracuje obok i zdaje się, już kończy. Potem stąd wyjedziemy. Uda nam się to, choć teraz Głuszyce nie chcą nas wypuścić. Wierzę jednak, że gdy tylko Bruno skończy, będziemy wolni. Wsiądziemy w samochód i wrócimy do domu, a tutaj zostanie po nas jedynie ten list skryty pod poduszką na fotelu. List od nikogo dla nikogo.

Uciekniemy stąd, chyba że znowu usłyszymy dzwon.

Koniec fragmentu
Zapraszamy do księgarń



WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

